ROZMAITOŚCI.

Dnia 15 marca, Nr 11. roku 1845.

Dziewczyna z Mechliny.

(Dokończenie.)

Czas nieobecności Lucylii był dla Amedeja czasem nudów i męki, jakich nigdy jeszcze nie doznał. Nieustannie o godzinę się pytał. Byłyto prawie jedyne słowa jego. Odkiedy nie słyszał Lucylii koło siebie, nie było dla niego słońca, nie było świéżego tchnienia powietrza, które zwykle tak lubiał; sama nawet muzyka nie cieszyła go więcéj.

Nie mogło się obejść bez tego aby kumoszki miejskie nie zazdrościły rodzicom Lucylii zięcia, którego majątek w ustach ciekawéj gawiedzi w ogromne urósł bogactwo, którego urodzenie miało najwyższego szczebla społeczeństwa dosięgać, którego postać przez powszechny udział, jaki jego nieszczęście obudzało, piękności Antinoja dorównywać się zdawała. A przecież to samo nieszczęście, które w oczach świata tyle mu uroku dodawało, nie było w stanie powszechnéj stłumić zazdrości; — chociaż może tylko dla tego, iż niektóre damy mechlińskie ślepotę za jednę z mniéj uciązliwych wad u małżonka poczytywały. Żadna jednak nie pałała tak nieposkromioną zawiścią, jak piękna, wszechwładna Julija. Niewymownie ją to bolało, iż Lucylija, o któréj dotąd obok Julii zawsze zapominano, mogła naraz tak wielkiego nabyć znaczenia, — iż się wziął zkądsiś człowiek, dla którego ona w porównaniu z Lucyliją mniéj niźli niczém była. — „Szczęście iż kochanek Lucylii jest ślepym!" mawiała w złośliwym żarcie.

Podczas nieobecności Lucylii bawiła Julija nieustannie w domu państwa Le-Tisseur, będąc wszakże istotnie o to proszoną. Krzątając się około Amedeja pełniła z taką gorliwością wszelkie usługi, które niegdyś Lucylija mu wyświadczała, iż ją samę to zadziwiało. Wreszcie przywiodła ją przewrotność ludzkiego serca do tego, że istotnie uczuła przywiązanie do przedmiotu swych starań, o ile przynajmniéj jéj serce zdolne było miłości i przywiązania.

Ale w tym samym stopniu jak jéj uczucia dla Amedeja wzrastały, wzmagała się także jéj nienawiść ku jego narzeczonéj. Wmówiła uporczywie w siebie, iż tylko ślepy przypadek piérwszego zapoznania pozbawił ją miłości Amedeja, od któréj teraz — jak sobie uroiła — szczęście jéj życia zawisało. Gdyby Amedej był nie kochał nigdy Lucylii, byłaby niezawodnie z powodu jego nieszczęścia, pomimo iż był młodym i majętnym, nie przyjęła jego miłości; lecz jego przywiązanie do Lucylii, jéj nad nią odniesione zwycięstwo, nadawały Amedejowi niespodzianie wysoką wartość, któréj zresztą nigdyby zapewne nie była w nim znalazła. Ale to wszystko nie czyniło żadnego wrażenia na Amedeju, który strzeżony swoją ciemnością, był przed wszelkiemi podstępami i pięknością Julii bezpiecznym. Owszem, mniéj mu się to jeszcze podobało teraz niż przedtém, bo wyraźne jéj usiłowanie zastąpienia mu staranności kochanki, było w jego oczach nieprzyzwoitém natręctwem.

„Czas już, pani Le-Tisseur, czas już, nieprawdaż, aby Lucylija nareszcie powróciła. Mogła już wszystkie swoje korónki wyprzedać!" rzekł Amedej z niechęcią.

„Bądź pan cierpliwym; kto wié, może już jutro nadjedzie."

„Jutro! Ach, daleko jeszcze do jutra! Wszakto dopiéro szósta godzina, szósta — nieprawdaż?"

„Właśnie co piąta uderzyła;" odpowiedziała Julija. „Chcesz pan może, aby mu co przeczytać? Jest tu nowa książka z Paryża, która wielką wrzawę sprawiła."

„Dziękuję bardzo; nie chcę pani trudzić."

„Ach, jakże pan coś podobnego mówić możesz!"

„Nie — nie — dziękuję; nie jestem usposobionym do słuchania cię Julijo."

„Ha, gdyby on mógł widziéć!" westchnęła Julija. „Pożałowałby mi téj odpowiedzi."

„Słyszę jakiś turkot powozu!" zawołał Amedej zrywając się. „To pewnie dyliżans bruxelski! Tak jest; onto, wszak o tym właśnie czasie przybywa! — Lecz nie — nie — to jakiś lekszy powóz!" zakończył smutno.

Ale turkot zbliżał się coraz bardziéj; teraz powóz skręcił na rogu ulicy — stanął przed ich mieszkaniem — i w oka mgnieniu była uszczęśliwiona Lucylija w objęciach Amedeja.

„Ach cóż ja czynię!” rzekła zapłoniona do siebie, opamiętawszy się z radości; poczém zwracając się do towarzyszącego jéj lekarza, pana Le-Kain — „Przepraszam pana!” ozwała się. „Oto Amedeju, przywiozłam ci tu kogoś, który ci za pomocą bożą wzrok przywrócić jest w stanie.”

„Nie czyńmy sobie zbytnéj nadziei, moje dziécię;” rzekł Le-Kain. „Zawiedzione nadzieje najsrożéj bolą.”

Niechcąc rozwodzić się széroko, wspomniémy tylko pokrótce, iż opatrzywszy Amedeja, Le-Kain powziął dość silną wiarę w możność wyleczenia jego ciemnoty. Z ochotą zezwolił Amedej na operacyję, która wnet przedsięwzięta — szczęśliwie się powiodła.

Któż opisze radość i zachwycenie Lucylii, gdy nagle pobożny cel jéj pielgrzymki osiągniętym, a modły jéj wysłuchanemi zostały. Szczęście jéj było tak wielkie, iż zważając zmienność kolei losów ludzkich, już po samym nadmiarze jéj teraźniejszéj szczęśliwości wnioskować należało, jakby ciężkie były owe cierpienia, któreby po niéj nastąpiły.

Skoro tylko wzrok Amedeja stopniowo do światła nawykać zaczął, było jego piérwszém, jedyném pytaniem: Gdzie jest Lucylija? — „Ale nie ją samą dajcie mi widzieć; pokażcie mi ją pośród was wszystkich, abym was mógł przekonać, że instynkt serca nigdy nie zwodzi.” Lucylija przystawała z obawą na to żądanie, od którego jednak nieposkromiony Amedej żadną miarą odwieść się nie dał. Tak więc ojciec, matka, Lucylija, Julija, młodsza jéj siostra — wszyscy zgromadzili się w jednym małym pokoju. Po chwili drzwi się otwarły i Amedej stanął na progu. Dość mu było spojrzéć przelotnie po towarzystwie; żywa radość zajaśniała na twarzy jego, krzyknął radośnie: „Lucylijo! Lucylijo moja!” i rzucił się do nóg — Julii.

Z pałającém obliczem, bez zmysłów prawie z uciechy, utkwiła Julija płomienne spojrzenie w niego. Nie ona jednak wywiodła go z tego błędu.

„Mylisz się pan,” ozwała się pani Le-Tisseur. „To jest nasza kuzynka Julija; oto jest pańska Lucylija.”

Amedej powstał i zwrócił się ku Lucylii, lecz ona radaby się była téj chwili w grobie skryła. Zdumienie, boleść, zawiedzione nadzieje, prawie przestrach, malowały się w jego wzroku. W ciemnéj nocy swego więzienia wymarzył on sobie był obraz najjaśniejszéj piękności; po wyjściu teraz na wolność z tego więzienia, jakażto rzeczywistość przedstawiła się oczom jego?! Będąc jeszcze zanadto niewprawnym dostrzegaczem, aby spostrzedz ten wyraz boleści i rozpaczy, który jego spojrzenie na twarzy Lucylii wywołało, uczuł przecież głęboko, iż nie godziło się tak dziękować osobie, któréj przywrócenie wzroku był winien. Pospieszył więc naprawić ile możności błąd swój; lecz w jakiż sposób mógł to już teraz zrobić!

Ta jedna chwila zniszczyła całe szczęście Lucylii; jéj urocza budowa marzeń runęła w gruzy; jéj czarnoksięska różczka została zgruchotaną, i nie było już więcéj tego błogiego czaru, który cichy kącik jéj życia od reszty płowego świata oddzielał. Miłe wprawdzie słowa płynęły z ust Amedeja; z najwdzięczniejszém wprawdzie uczuciem wspominał jeszcze to wszystko, co ona dlań uczyniła; wciąż jeszcze wprawdzie nazywał ją: »moja oblubienico — moja zbawczyni!” i przeklinał zmienność swego uczucia: — lecz gdzież się podziała namiętność jego wyrazów? gdzie rzewność jego głosu? gdzie igrający blask jego rysów, które niegdyś za usłyszeniem najlżejszego dźwięku jéj głosu, nowém życiem jaśniały! Będąc teraz samnasam z Lucyliją, uczuwał pewien niedoznawany wprzódy niepokój, pewną niemiłą wymuszoność, a wreszcie zimne zobojętnienie. Już dłoń jego nie szukała dłoni Lucylii, dusza jego nie tęskniła już do niéj, gdy jéj na chwilę obok niego nie było. Daleko większéj przyjemności doznawał w małém domowém gronie, które się co wieczór zgromadzało; ależ i wtedy nawet, czyżto w biednéj Lucylii tkwiły jego spojrzenia? nie błądziłyż one nieustannie z widoczném zajęciem za jaśniejącem, spłonioném licem uszczęśliwionéj Julii? Nie stało się zapewne to wszystko nagle, w jednym dniu lub tygodniu, lecz każda nowa chwila utwierdzała tę smutną zmianę. Lucylija uważała to bacznie i nie mogła znieść tak przykrego porównania przeszłości z teraźniejszością. Tłumiąc w głębi piersi swe skargi, uciekała do oddalonego pokoiku, i tam we łzach gorzki żal serca wylewała. Tymczasem bawiła Julija z Amedejem, używając nieobecności Lucylii do coraz mocniejszego ustalenia swéj władzy nad jéj kochankiem. Lecz zawsze jeszcze nie śmiała sobie Lucylija całego ogromu poniesionéj straty wystawić. W szlachetnéj prostocie swojéj duszy sądziła, iż zostawszy żoną Amedeja, zdoła znowu ująć sobie to serce, które niegdyś było do niéj tak przywiązane, że jego zupełne postradanie tylko za skutek jakiegoś dziwnego nieporozumienia uważać mogła. Na téj jedynéj nadziei polegało całe jéj szczęście, które tak niespodzianie własna jéj miłość zniszczyła. I zawsze téż jeszcze nastawał Amedej na przyspieszenie wesela, lecz w jakże odmiennym tonie! Właściwie chciał on sobie przezto odjąć tylko możność popełnienia tém większéj niewdzięczności. I on téż pochlebiał sobie, iż obowiązki rodzinne, skoro się raz ożeni, wzmocnią nadwiędniały kwiatek miłości, a jeżli już nigdy ta sama miłość nie wróci, tedy przynajmniéj niech jego majątek, szacunek

i wdzięczność wynagrodzą Lucyliję w ten sposób, jaki mu dziś jedynie do jéj wynagrodzenia pozostał. Lecz bawiąc nieustannie z Juliją, która wszelkiémi siłami do ostatecznego podbicia jego serca dążyła, przygotowywał Amedej inną wcale nagrodę dla téj, któréj tyle miał do zawdzięczenia!

Poza domkiem państwa Le-Tisseur, znajdował się ogródek z małą altanką, w któréj Amedej niegdyś wiele słodkich wieczorów letnich w towarzystwie Lucylii spędził. O błogie, na wieki minione chwile! — Teraz, siedząc jednego wieczora samotnie w swym pokoiku, usłyszała znajomą sobie piosnkę, którą Amedej téj chwili w ich ulubionéj altance na flecie przegrywał. Te lube, znane dźwięki, do łez ją rozrzewniły. Wzbudzone pieśnią wspomnienia przedstawiły jéj obraz kochanka w łagodniejszém i milszém świetle, i zaczęła sobie czynić zarzuty, iż się zbytecznie popędowi swoich zranionych uczuć poddała; że się sama bez dostatecznego powodu od niego odstręczyła, że nie miała tyle odwagi, aby pomówić z nim o swojém doń przywiązaniu, które podług jéj skromnego rozumienia o sobie saméj, stanowiło jéj całe prawo do jego wzajemności. „Może on teraz jest sam jeden,” pomyślała; — »wszakże i nuta téj pieśni jest jedna z owych, które, jak mu wiadomo, najlepiéj lubię.” I zatrzymując dech w piersi wyszła na ogród ku altance. Piosnka Amedeja umilkła, a Lucylija zbliżywszy się do altanki, usłyszała w niéj głosy Julii i Amedeja. Ona się uskarżała, on ją pocieszał. Okropne przeczucie przenikło serce Lucylii, stanęła jak do ziemi przykuta, a tam w altance —

»Tak jest, ożeń się z nią — zapomnij o mnie!» wołała Julija. »Za kilka dni będziesz do innéj należał, a ja — o przebacz mi, przebacz, żem twoje szczęście zmąciła! Jestem dość zało ukarana — moje serce pęknie, lecz nie przestanie cię kochać.» Tu mocne łkanie przerwało słowa Julii.

»O, nie mów tak!” odpowiedział Amedej. »Ja jeden jestem winny; ja dla was obu byłem fałszywym, dla was obu niewdzięcznym. Ach, od téj chwili, kiedym ciebie obaczył, nowe życie wstąpiło we mnie! Samo słońce zdało mi się mniéj piękném niż piękność twoja! Ale — o, niech zapomnę tę chwilę! Ileżto winien jestem Lucylii! Zostanę nieszczęśliwym — tak, zasłużyłem nato — bo czyż nie będę musiał wciąż o tém myśléć. Julijo, że moja nieszczesna miłość, twoje życie zatruła! Ale wszystko, co tylko odemnie zależy — moja reka, moja zaprzysiężona wiara — jest Lucylii własnością. Och nie, nie, Julijo! Nie dręcz mię tém spojrzeniem! Mogęż inaczej postapić? mogęż inaczej myśléć? Jakkolwiek krwawa ofiara, czyż nie muszę jéj ponieść. Ileżto nie zawdzięczam Lucylii! — chociażby nawet tylko to jedno — iż ciebie widziéć mogę!..»

Lucylija nie chciała dłużéj słuchać. Tym samym cichym krokiem, który ją w obręb tych nieszczęsnych słów zaprowadził, wróciła spiesznie do swego samotnego pokoiku.

Wieczorem, gdy Amedej sam jeden u siebie siedział, zapukał ktoś z lekka do drzwi. »Prosze!» zawołał Amedej, a Lucylija wstąpiła. Amedej się nieco zmieszał i chciał ją wziąć za rękę, lecz ona łagodnie go usunęła. Potém usiadła naprzeciw niemu i ozwała się témi słowy:

»Mam coś na sercu, kochany Amedeju, cobym rada była wymówić za jednym razem; a jeźli może nie dobrze się wyrażę, tedy nie gniewaj się na Lucyliję; nie takto łatwo ująć w dokładne słowa, co się głęboko czuje.” — Zarumieniony, i przeczuwając poczęści co mu miała powiedziéć, chciał jéj Amedej przerwać, lecz ona skinęła nań z uprzejmą niecierpliwością, aby jéj skończyć dozwolił, i mówiła tak daléj:

„Wszak pamiętasz, com ci tyle razy powtarzała, kiedyś mię jeszcze kochał, — iżbyś stracił swoje uczucia dla mnie, gdybyś mógł widziéć jak ja nie zasługuję na nie. Nie zwodzę sie Amedeju; miałam zawsze to przekonanie, iż tak być musi — iż twoje miłość ku mnie, tylko twoje nieszczęście wznieciło. Przy tém wszystkiem jednak nie miałam innego życzenia, nie marzyłam o niczém innem, jak tylko o twojém szczęściu, i Bóg mi świadkiem, iż gdybym teraz, powtórną jaką pielgrzymką, o głodzie i boso, nie do Kolonii, ale daléj, do Rzymu, owszem na koniec świata, mogła cię od nierówniéj mniejszego cierpienia, niż jest ciemność, ocalić — uczyniłabym to z roskoszą, — chociażbym nawet w ciągu téj całéj podróży sobie powtarzać miała: iż mię zimno przyjmiesz z powrotem, iż nie będziesz zważać na moje przywiązanie, i za karę to samo nieszczęście ponieść będę musiała — jakie — istotnie już poniosłam.”

Tu otarła kilka łez z oczu. Amedej, wzruszony w głębi serca, zakrył sobie twarz rękoma, nie mając odwagi przerwać. Lucylija mówiła daléj:

„Com przewidywała, nastąpiło. Nie jestem już tém dla ciebie, czém byłam przedtém, gdyś jeszcze tę biedną postać i to niegładkie lice, przyoblekał pięknością, która im nie należy. Żądasz jeszcze wprawdzie małżeństwa ze mną, lecz jam dumna, Amedeju, i nie mogę poniżyć się do wdzięczności, gdziem miłość posiadała. Nie jestem do tego stopnia niesprawiedliwą, abym ci miała czynić wyrzuty: zmiana, która pomiędzy nami zaszła, była zbyt naturalną, była konieczną. Powinnabym była przygotować się naprzód do niéj; — lecz jestem już spokojną. Musimy się rozstać. Ty kochasz Juliję — i to niedziwna; a Julija kocha ciebie, — ach cóż może być mniéj dziwnego! — Kocha cię tedy Julija: nie tyle może ile ja cię kochałam, ale też

ona nie zna ciebie jeszcze tak dobrze, jak ja cię poznać mogłam — a będąc przyzwyczajoną do nieustannych hołdów, nie może także czuć téj wdzięczności, jaką'm ja dla ciebie czuła, mniemając, że jestem kochaną! — Ale to z czasem przyjdzie; z duszy jéj tego życzę! Żegnaj więc, kochany Amedeju; rozstajemy się, bom ci już więcéj niepotrzebną. Jużeś uwolnionym od wszelkich obowiązków ku mnie; niechaj kto może, zastąpi ci Lucylii miejsce; bądź zdrów!»

To rzekłszy wstała i chciała wyjść z pokoju. Amedej ujął ją silnie za rękę i uskarżał się namiętnie, bez związku, na swoję nieszczęsną słabość.

»Wyznaję,» — mówił — »żem się dał uwieść na chwilę; wyznaję iż piękność Julii zobojętniła mi cokolwiek twoje wyższe, świętsze, nierównie świętsze prawo do méj miłości. Przebacz mi tę słabość, droga Lucylijo, teraz znowu jestem twoim, teraz czuję znowu to wszystko, com niegdyś czuł dla ciebie! O, nie zmuszaj mię do przeklinania roskoszy tego wzroku, który tobie zawdzięczam. Nie powinnaś mnie opuszczać; nie powinniśmy się rozstawać! Przekonaj się Lucylijo; doświadcz mię raz jeszcze; a jeżli raz jeszcze sprzeniewierzy ci się to serce, natenczas odepchnij mię od siebie, natenczas niech zginę śród udręczeń sumienia.»

Lucylija była w swoim zamiarze niezachwianą; wiedziała bowiem dobrze, iż terazniejsze jego uniesienie było tylko natchnieniem chwilowém; czuła, iż duma jéj była cnotą, iż powinnością jéj było wyrzec się Amedeja. Nadaremnie więc bronił on swojéj sprawy; nadaremnie zaklinał ją i jaknajczuléj błagał; nadaremnie przypominał jéj odbyte już zaręczyny i przedstawiał smutek rodziców, których całe szczęście od tego związku ich córki zależało. »Jakiémże czołem, mógłbym stanąć przed nimi, gdybym ciebie opuścił, a z inną chciał się zaślubić?»

»Bądź spokojnym;» odpowiedziała Lucylija. »Mojémto będzie staraniem, aby ani rodzice, ani ktokolwiek w świecie, nie śmiał cię ganić za to. O jedno tylko proszę, abyś nie tutaj, w oczach moich rodziców, obchodził twe zaślubiny z Juliją. Zresztą — oby was nieba błogosławiły! Nie sądź, iż będę nieszczęśliwą! bo czyż nie przyczyniłam się dwukrotnie do twego szczęścia! Mając to przekonanie, nie potrzebuję litości.»

To rzekłszy wymknęła się z jego ramion i zostawiła go samego, w usposobieniu, które było boleśniejsze niż jego poprzednia ciemność. Jeszcze tego samego wieczora zwierzyła się swojéj matce. Pomijamy dowody, któremi raczéj namówiła niż przekonała matkę, i zostawując pani Le-Tissenr przykre zawiadomienie ojca o jéj niezmiennym postanowieniu, opuściła Mechlinę i udała się w odwlékane dotąd odwidziny do swojéj ciotki w Bruxeli.

Rodzice Lucylii mieli tyle szlachetnéj dumy, iż Amedejowi żadnych wyrzutów nie czynili. Mimoto jednak nie mógł znieść ich zimnych, zmienionych spojrzeń i wyprowadził się z ich mieszkania. Przerwał wprawdzie na kilka dni swoje widywanie się z Juliją, lecz wkrótce odzyskały jéj wdzięki i przymilenia swą dawną nad nim władzę. Po niedługim czasie poślubił ją w jednem z miast belgijskich, i odjechał ku wielkiemu zadowoleniu swojéj próżnéj małżonki do wesołéj stolicy Francyi.

Tak dnie i miesiące mijały. Nasza powieść rozpoczęła się w pierwszych czasach rewolucyi francuzkiéj. Zaledwie rok po zaślubieniu Amedeja z Juliją przeminął, gdy wojska rewolucyjne do Niderlandów wkroczyły. — Jakże dla Lucylii rok ten upłynął? — Już jéj pielgrzymka do Kolonii, podjęta bez przewodnika, w lękliwym wieku pierwszéj młodości, dowiodła dostatecznie, iż jéj charakter był niemniéj mocnym i stałym, jak jéj przywiązanie bez granic. Sądziła, iż Amedej był szczęśliwym i nie chciała się przeto w samolubnym pogrążać smutku. Wszakżé było jeszcze tyle osób, którym świadczyć mogła przysługi. Właśni rodzice zbliżający się ku starości, potrzebowali jéj starań i pociechy; Lucylija to czuła i była tém pocieszoną. O Julii raz tylko w tym całym czasie słyszała; pewien znajomy widział ją był w Paryżu wesołą, jaśniejącą szczęściem i pięknością, otoczoną wielbicielami. O Amedeju nie doszła jéj żadna wiadomość.

Tymczasem burza wojenna coraz się bardziéj wzmagała. Po kilkudziesięciu latach pokoju ozwały się gromy bitew, runęły odwieczne twierdze, rozlała się krew strumieniem, a piękne Niderlandy — to wielkie pobojowisko Europy, — były wystawione na pierwszy zapęd téj burzy. W ogólności sprzyjała ludność belgijska sprawie francuzkiéj; kilka miast tylko, a pomiędzy témi i owo w którém rodzice Lucylii żyli, opiérało się jakkolwiek nieprzyjaciołom. Sam ojciec pierwszéj kochanki Amedeja, pomimo wiek swój, przypasał szablę i walczył na murach miasta. Ztémwszystkiém zostało miasto zdobyte a rozdraźnieni zwycięzcy rzucili się zapamiętale na domy mieszczan, którzy się im opierać poważyli. Podobnież i na mieszkanie pana Le-Tisseur napadła zgraja zaciekłego żołniérstwa. Sama nawet Lucylija zadrzała pod ręką jednego z nieprzyjaciół i krzyknęła o pomoc — gdy nagle tłum się rozpierzchnął i — »Kapitan! nasz kapitan!» zawołano trwożnie wokoło. Bezczelny jéj napastnik, porażony silném ramieniem przybyłego oficera, padł bez zmysłów u nóg Lucylii, a w spaniałéj, błyszczącym mundurem przyodzianéj postaci swego obrońcy, który teraz tuż przed nią stanął, ujrzała Lucylija — Amedeja!

W oka mgnieniu został dóm z żołniérstwa wypróżnionym i drzwi zatarasowano; już tylko z ulicy zalatywały okrzyki wojska, tętent koni, chrzęst

zbroi, wrzawa uciekających i szumne dźwięki muzyki wojskowéj. Lecz Lucylija nic z tego wszystkiego nie słyszała; — jéj światem były teraz objęcia powróconego kochanka, który nigdy nie powinien był jéj opuszczać.

Dla ochronienia domu swoich przyjaciół wprowadził się Amedej kwaterą do ich mieszkania, i bawił znowu przez dwa dni z Lucyliją pod tymsamym dachem. O Julii nigdy sam nie wspominał i tylko z widoczną niechęcią odpowiadał na nieśmiałe zapytania Lucylii. Tém namiętniéj i z całym zapałem płomiennéj, długo więzionéj duszy, prawił o nowym stanie któremu się teraz poświęcił. Wojenna sława zdawała się być obecnie jedyną jego namiętnością, a pierwsze, tak świetne marzenia rewolucyi, owładły jego umysł swoją promienną złudą, płynęły strumieniem natchnionych słów z ust jego, i błyskały ogniem waleczności z tych czarnych oczu, które Lucylija światłością obdarzyła.

Po kilku krótkich dniach wyruszył Amedej z swoim hufcem. Lucylija znowu sama została, patrząc za jego w słońcu lśniącym się piòropuszem, za jego dumnie naprzód unoszącym go koniem, za jego ostatniém, pożegnawczém spojrzeniem, w którém — gdy się jeszcze raz do progu jéj mieszkania obrócił — mniemała widzieć ten sam wyraz owéj głębokiéj, wdzięcznéj miłości, przypominającéj niebodze jedyne piękne dnie jéj żywota!

I tak też było w istocie. Oddawna już wyrzucał sobie Amedej przemijającą płochość, która z Julija go połączyła, nauczył się teraz rozróżniac nektar prawdziwy od fałszywego, i uczuł mocno, iż jego pożycie z Juliją było karą za krzywdę, wyrządzoną Lucylii. Ale »za późno już, za późno!« wołało nań bez ustanku sumienie; udał się więc na pole bitew i mordów, aby tam wrzawą bojów ten najokrutniejszy głos zagłuszył.

Tak przeminęły lata, a w odzyskanym spokoju duszy Lucylii, zdawało się to ostatnie przelotne spotkanie się z Amedejem być raczej tylko krótkim, zachwytnym snem niżli rzeczywistością. Tymczasem gwiazda Napoleona zabłysła na politycznym widokręgu; rozpoczął się zawód jego bohaterskich czynów, pełen cudów i sławy, a wyprawa egipska stała się niejako zapowiednią tryjumfów, które iskrzącym się blaskiem meteorów wybłyskiwały z ciemni rewolucyjnego chaosu.

Wiadomo jest ile wojska francuzkie w piaszczystych pustyniach egipskich ucierpiały. Jedną z najstraszniejszych słabości, panujących pod tém piekącém niebem, był pewien szczególny rodzaj zapalenia oczu. Wielu młodych spółrodaków Lucylii, którzy pod chorągwiami Napoleona służyli, wróciło teraz oślepionych tą okropną słabością, a Lucylii datki, ramię i głos pocieszający, były zawsze gotowe na usługi cierpiących, których nieszczęście tak dotkliwą strunę w jéj sercu poruszało.

Ojciec jéj umarł; jedynym celem jéj dziecięcéj miłości została się tylko matka, któréj teraz wszelkiemi wymysłami najtkliwszego przywiązania ostatki życia słodziła. Jednego wieczora, siedząc przy wspólnéj robocie, i rozmawiając o niedawnem oświadczeniu się pewnego sąsiada z prośbą o rękę Lucylii, która wszakże najlżéjszą myśl o zawarciu małżeńskich ślubów, jako bluźnierstwo przeciw świętości swoich dawniejszych uczuć dla Amedeja, jako zbrodnię popełnioną na jego drogiéj zawsze pamięci poczytywała — usłyszały obiedwie najprzód jakieś lekkie stukanie do drzwi, a potém szorstki głos komisarza miejskiego, wskazującego komuś drogę do ich mieszkania. „Oto jest pani i panna Le-Tisseur!" rzekł do swego towarzysza, słusznego, spaniałego mężczyzny z umbrą na oczach, w długim wojskowym płaszczu, wstępującego ostrożnie z swoim przewódzcą do pokoju. Lucylii przeczucie przemówiło radośnie. Osłoniony mężczyzna wyciągnął ku niéj ramiona. »Lucylijo!« zawołał owym posępnym, dobrze jéj znanym głosem dawnéj miłości. »Gdzież jesteś Lucylijo; ach, czy już nie poznajesz Amedeja?«

I onto był w saméj istocie. Osobliwszém zrządzeniem losu został w skwarze egipskiego słońca, na piaskach egipskich pustyń powtórną, już niewyleczoną porażony ślepotą. Powróciwszy do Francyi dowiedział się iż był wdowcem. Julija umarła śmiercią nagłą śród uciech i rozrywek stolicy i zostawiła dóm Amedeja pustką. Nic też dziwnego, że niemógł bawić długo w miejscu, pełném najprzykrzejszych wspomnień dla niego, i zatęskniwszy za anielskiém sercem Lucylii, pospieszył na miejsce jéj pobytu, chcąc się dowiedzieć, czy jeszcze jaka nadzieja dla niego na świecie nie pozostała.

A gdy następnych dni pokornie i trwożnie dawne swoje prośby Lucylii powtórzył — czyliż się odwróciła od niego? czy wyrządzoną jéj krzywdę pamiętała? — czy się zaparła budzących się znowu uczuć? — Ach, ten słodki, rzewny głos cierpiącego, te znowu zaćmione oczy przemawiały do niéj niepokonaną siłą. »Stałam mu się znowu potrzebną!« — to było jedyną myślą jéj serca — »jeźli ja go oddalę, któż się nim zająć zechce?« To pytanie wskazywało jéj niewątpliwie, co czynić miała; to pytanie otworzyło znowu odniekąd zasiąkłe źródło jéj pierwszéj miłości, i napełniło ją silniejszém niż kiedykolwiek uczuciem przywiązania, litości, poświęcenia. Tożsamo pytanie brzmiało jéj w duszy, gdy stała z nim przy ołtarzu i z tą samą mocną wiarą, która ją niegdyś w pielgrzymkę wyprawiła, przysięgała mu niezmienną wierność i miłość.

Jakoż otrzymała wreszcie nagrodę swojéj miłości. Z powtórną ciemnotą powróciły wszelkie dawne uczucia, które niegdyś Lucylija w sercu Amedeja

wzbudziła. I znowu przysłuchywał się pilnie lekkiemu odtętnieniu jéj kroków — i znowu tęsknił za nią, gdy go tylko na chwilę opuściła — znowu odgłos jéj mowy rozpędzał mu chmury z czoła, a jéj obecność stała mu za widok słońca i nieba. Nie uskarżał się już więcéj na stratę, którą poniósł powtórnie; pojednał się znowu z losem i doznawał bez przerwy owéj pogody umysłu, która zwykle dobroczynnym udziałem ociemnionych bywa. Być może, iż zaznawszy raz rzeczywistego świata, i skosztowawszy jego ckliwych słodyczy, stajemy się wyrozumialszymi na stratę tych przyjemności, i podobnie jak owa zacisz domowa, która pierwsze uniesienia naszéj młodości poskramiała, najmilszém wspomnieniem naszego życia się staje; tak też może traci i ciemnota swą grozę, gdy już z doświadczenia oślniający blask dzienny i dzienne znamy trudy. Oprócz tego i to jeszcze przyczyniło się niemało do jego szczęścia, iż z posuwającym się wiekiem uczuwał coraz bardziéj potrzebę starań i troskliwości Lucylii, i coraz przeto gorętszą dla niéj wdzięcznością, coraz większą czcią się przejmował. Wreszcie nie widział śladów, jaki bieg czasu na jéj postaci wywarł, nie widział zmarszczków, które jéj gładkie czoło bruzdami poorały; nie widział jak jasny promień jéj oczu blednął, a miły uśmiech płowiał. Dla niego była ona zawsze po za obrębem czasu, i aż do grobu — który oboje niebawem po sobie przyjął — przechowała się wierna dziewczyna z Mechliny w pamięci Amedeja, tym samym zawsze otoczona urokiem, tym samym blaskiem niezgasłéj miłości jaśniejąca.

Żebrak.

Tam przy drodze krzyż spruchniały
Z wyniosłego sterczy wzgórza,
A z różańcem u podnóża
Siedzi żebrak wynędzniały.

Grubym zmarszczkiem czoło zryte,
Pierś wspomnienia straszne grzeją;
W jego wnętrzu znać ukryte
Gorzkie losy się starzeją.

W niebo utkwił wzrok złzawiony,
Bogu żale swe zanosi;
Stary nędzarz opuszczony —
Oby zyskał, o co prosi!...

A podróżny tam od sioła
Zwolna kroczy utrudzony; —
»Niechaj będzie pochwalony!«
Stary kornie doń zawoła.

»Żebrakowi bez pomocy,
Jałmużny, jałmużny bracie!
Trzy dni tutaj i trzy nocy
Siedzę głodzien w zimnéj szacie.«

»Ani zmrużyć mi powieki
Na kamiennéj tu pościeli;
Wsparcia, wsparcia! — tam na wieki
Bóg nagrodę wam udzieli!«

Stare dłonie doń wyciąga,
Łza bolesna z oczu spada; —
Lecz podróżny mu urąga:
»I jam biedny,« odpowiada.

»A mam jeszcze długą drogę
Do ojczystéj odbyć strzechy;
Nic ci starcze dać nie mogę,
Oprócz kilku słów pociechy.«

Żebrak westchnął, zwiesił głowę,
Ręce bez sił mu opadły,
Łzy spłynęły, lica zbladły:
Żywy i trup przez połowę.

»I tyś biedny,« jęknął głucho,
»Boć tu biednych jest niemało!
Lecz jeżeli twoje ucho
Jeszcze nigdy nie słyszało

»O téj nędzy, téj rozpaczy,
Co po jednym swym wystrzale,
Całą istność człeka spaczy,
Życie wtrąca w nieszczęść fale,

»I dnie każe wlec tułacze,
O tym kiju i z torbami:
To posłuchuj, a zapłacze
Oko twe litości łzami.«

I znów starzec sił nabiéra,
Krew mu w piersiach krąży prędzej,
Słabą dłoń na kiju wspiera,
I tak mówi o swéj nędzy:

»W tamtéj wiosce jam się rodził,
Miał tam chatkę i rodzinę;
Los mię nigdy nie zawodził,
Jam niewierzył w złą godzinę.«

»Żona moja — dusza święta!
Jako w szczęściu nieskażona,
Tak w niedoli nieugięta,
Z wszystkich żon najlepsza żona!«

»Syn jak dębczak rosły, śmiały
Siwéj głowy méj podpora;
Jak kalina piękna córa,
W niéj uczucia i zapały.«

Tak szczęśliwe niegdyś było
Drogie méj rodziny koło;
Życie wtedy nie ciężyło,
Bo szło jasno i wesoło.«

»Ale czemuż w saméj porze,
Kiedy kwitnąć mi zaczęło
Szczęście, chciałeś wielki Boże!
By na zawsze zaginęło?!«

»Chmury zwisły nad mą głową,
Grom uderzył, wszystko spalił;
Nad ruiną popiołową
Abym płakał, mnie ocalił.«

»Pan nikczemny, dziedzic sioła,
By dogodzić swéj swawoli,
Pozazdrościł szczęsnéj doli,
Wydarł córkę mi anioła.«

»Wszystkich wygnał z sierpem w dłoni,
Córce kazał zostać w domu,
I hajduków wysłał do niéj,
By ją porwać pokryjomu.«

»Wieść ta zmysły mi odbiéra,
Do złoczyńcy z synem gonię;
Zemsta duszę mą pożéra,
Od wściekłości drgają dłonie.«

»Wpadam zbladły — »Nikczemniku!
Córkę oddaj mi kochaną,
Którąś wywlókł nieskalaną
Z ojca chaty rozbójniku!«

»»Jam ci wody nie zamącił,
Tyś mi taką krzywdę zrobił!« —
Pan mię za to kijmi obił,
I do lochu w dybach wtrącił!«

»Matkę śmierci grot uderza —
Drogą córkę mi zhańbili, —
Syna oddał na żołnierza:
Jam żebrakiem w jednéj chwili!«

Skończył starzec, — jasną wstęgą
Płyną z oczu łzy boleści,
Żebrak otarł je siermięgą:
Gorzki owoc, gorzkiej treści!

A podróżny stał w milczeniu,
Spojrzał na nieszczęść ofiarę,
Ścisnął starca w rozczuleniu,
Dał jałmużnę i łez parę.

Fr. Waligórski.

W imienniku Maryi K.

Dawno już nad kolebką matka mi spiewała
O młodziutkich aniołkach. Zbladł obraz w pamięci,
Tylko postać ich pomnę: Śnieżna ona cała,
Włos złoty w spływających kędziorach się kręci,
I niebiańskiéj słodyczy wyraz w drobnéj twarzy,
I niebiańskim promieniem źrenica się żarzy.

Potem matkę straciłem, spiewek nie słyszałem,
Nie ujrzałem żywego obrazu anioła,
Sierotą będąc, wcześnie młodzieńcem zostałem,
Namiętnie w wartkie życia rzuciłem się koła,
I temu już lat kilka, lecz w tym czasie całym
Aniołka, ach, aniołka, nigdy nie widziałem.

Jedno twoje spojrzenie rzucone z niechcenia
Szybkością błyskawicy a potęgą gromu,
Przeniknęło mię nawskroś, ziściło marzenia
Które snułem dziecięciem w cichym matki domu —
O już się nie zachwieję o aniołach w wierze,
I czołem raz na zawsze przed niebem uderzę.

Mar.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 10ty i zawiéra: 1) O wyższości płodozmiennego gospodarstwa nad każdem innem. 2) O warzeniu piwa z mączki kartoflanéj. Ciąg dalszy. 3) Obcinanie (spuszczanie) gałęzi z drzewa szpilkowego tamuje wzrost lasów. Przez K. J. Turowskiego. 4) Lekarstwo na chorobę płucową bydła rogatego teraz panującą. 5) Ogłoszenie przedpłaty na gramatykę języka polskiego, przez Jana Nepom. Deszkiewicza. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 6ty i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Porękawiczne. Dokończenie. 2) O wydaniach Maryi Malczewskiego, przez A. Bielowskiego. 3) Hamlet, przez J. D. 4) Teatr.

Rej z Nagłowic. Łukasz z Górki kasztelan międzyrzecki, gdy jechał na zaloty do wojewodziny krakowskiéj na Lisko — miasteczko w ziemi sanockiéj — miał z sobą w towarzystwie Mikołaja Reja, najdawniejszego poetę polskiego, człowieka nader ciekawego rozumu. Przyjechawszy do Łęk, wsi pod Krosnem, w województwie krakowskiem, spytał się Rej przechodzącego chłopa: »A kto tę wieś trzyma?« *Kmieć.* Ziemia a płoty. — *Rej.* A któż tu panem? — *Kmieć.* Ten co ma najwięcéj pieniędzy. — *Rej.* A któż tu starszym? — *Kmieć.* Jest tu baba co jéj już przeszło sto lat. — *Rej.* A któż tu najwyższym? — *Kmieć.* Lipa nad kościołem, co ją oto widać. — *Rej.* Dalekoż południe? — *Kmieć.* Nie szło tędy, miły panie; niewiem jak daleko być może. — *Rej.* Widzi mi się, chłopie, weźmiesz w policzek. — *Kmieć.* Wolę ja co wziąć w rękę, miły panie. — Obaczywszy Rej iż na swego trafił, rzekł: »Jakom żyw, tak sztuczny chłop nigdy jeszcze na mnie nie przyszedł.«

Stóletnia rocznica urodzenia Szylera. Lubo do niéj jeszcze spełna 16 lat brakuje, — gdyż sławny ten poeta urodził się w roku 1759 — widziała się przecież dyrekcyja teatru hamburskiego spowodowaną do obchodzenia przed niedawnym czasem téjże rocznicy, a cały literacki swiat Hamburga przyjął w najlepszéj wierze oświadczenie dyrekcyi, która, jak się rozumié, hojną ztąd korzyść odniosła. Tenże sam »Nowy dziennik hamburski« z którego wiadomość tę wyjmujemy, wyraża się o grze hamburskich artystów dramatycznych w sposób następujący: Niegdyś były dramat a opera dwie zupełnie różne od siebie rzeczy. Teraz to dwoje, jest tosamo i jedno, teraz i bohatérowie dramatu i spiéwacy opery — daj im Boże zdrowia — krzyczą co im sił stanie, a kto najbardziéj płuca i gardło rozpiera, zostaje huczno wzajem oklaskanym, chwalonym a wkońcu w znak apoteozy, przywołaniem uwieńczony. I czegoż więcéj trzeba aby najzdolniejszych nawet artystów na nieznośnych krzykaczy przerobić, zwłaszcza, że pochwały publiczności były i będą zawsze głównym celem aktorów. Nieustannie klaskająca i przywołująca publiczność okazuje, iż jéj sąd jest bardzo ograniczony, że niema prawa domagać się czegoś lepszego; a tak się dzieje, że nie tylko w Hamburgu, lecz i gdzieindziéj, publiczność w swoich wymaganiach coraz skromniejszą się staje, i zamiast umniczéj, estetycznej, na rozum danéj prawdy, czczym wrzaskiem zadowalać się umie; ztąd téż tak wielu scenicznych mamy Herkulesów, którzy, gdy im gardła nie stanie, zbyt prędko równie w oczach publiczności jak i w gaży autreprenerskiéj maleją!

Wiek ziemi. Sławny francuzki geolog Elie de Beaumont dowodził przed niedawnym czasem w akademii umiejętności w Paryżu, przez obliczenie, które wprawdzie na niektórych problematycznych przypuszczeniach poléga: iż ziemia już od trzydziestu ośmiu tysięcy trzystu pięćdziesięciu dziewięciu lat, w stanie ciągłego stygnienia pozostaje. Odczyt swój zakończył on słowy następującemi: Wiadome jest zdanie Buffona, iż wszystkie zjawiska geologii dadzą się w przeciągu siedmdziesięciu sześciu tysięcy lat umieścić; lecz wiadomo jest także, o ile umiejętność geologii od czasu, kiedy Buffon swoje »Epoki natury« pisał, rozszérzoną została. Filizof Anaxagoras obudził powszechne zadziwienie, owszem niedowierzanie w Grecii, wyrzekłszy: iż księżyc jest tak wielkim jak Pelopenes; od tego czasu przekonano się dokładnie iż powyższe oszacowanie wielkości wcale przesadzonem nie było.

Połączenie Bałtyku z czarnem morzem. Od dawna już zamyślają w Rossyi o otworzeniu no-

wej wielkiéj komunikacyjnéj drogi od granicy galicyjskiéj aż do Odessy. Teraz słychać o tem z autentycznego źródła następne bliższe szczegóły. Twórcą tego projektu jest niejaki pan Brejsach, rodem z Austryi, który już od kilku lat zatrudnia się w Rossyi tem przedsiębierstwem, mającem na celu zregulowanie niższego Dniestru i założenie kanału od Majoki aż do Odessy. Po wielu uprzednich usiłowaniach udał się tenże p. Brejsach dla uskutecznienia swego zamysłu do rządu rossyjskiego, zasadzając się na przypuszczeniu, iż następnie i wyższa część Dniestru zregulowaną być może, że północna kolej cesarza Ferdynanda, po swojem przedłużeniu z Bochni do Lwowa, będzie ze spławnym Dniestrem złączoną, poczem niechybnie wdłuż całej rzéki żegluga parowa urządzoną zostanie. — W ten sposób otwarłaby się wielka droga handlowa, a przez dokonanie prusko-szląskiéj kolei, nastąpiłoby połączenie morza niemieckiego i Bałtyku z morzem czarném. Zważając frekwencyję osób na warszawsko-krakowskiéj kolei po jéj połączeniu z kolejami północno-austryjacką i pruską, zważając dalej wynikły ztąd ruch tranzytowy w rossyjskich i pruskich prowincyjach Polski, wreszcie obfitość wywozowych produktów galicyjskich, musimy istotnie przyznać iż uskutecznienie pomienionego planu byłoby największéj wagi dla całej wschodniéj połowy Europy.

Kopalnie uralskie. Pasmo gór uralskich jestto rossyjskie Peru. W ich wnętrzu znajduje się jeden z owych ogromnych składów, w których natura nieprzebraną masę swoich bogactw nagromadziła. Jakoż niéma nic ciekawszego dla podróżnika, jak zstępować w te ciemne skarbnice ziemi, która tu swoje dziedzictwo dla szczęśliwszych jéj synów przechowała. Dobywanie złota i platyny dzieje się w kopalniach uralskich na wielką stopę i objawia swoim porządkiem i swoją regularnością całą wojskową karność rossyjskiéj administracyi. Wszystkie budowy górnicze są prawie téjże samej wielkości, wszystkie piece ciągną się w prostej linii wzdłuż pochyłości pogórza, tak iż cały rząd tych zakładów z największą łatwością przeglądnionym być może. Podobnież i po azyjatyckiéj stronie Uralu są otwarte liczne kopalnie, które wszakże ani w części swoją regularnością kopalniom rossyjskim nie dorównywają. — Pan Leplay, jeden z nadinżynijerów francuzkiego górnictwa, zwidza teraz ten kruszcowy most pomiędzy Europą a Azyją. Zstępuje on w każdą szybę kopalni, zwidza każdą dolinę, aby dociec niektórych pytań, będących zawsze jeszcze zagadką dla umiejętności. I tak naprzykład muszą mineralogowie przestawać dotąd jeszcze na samych domysłach względem sposobu i miejsca formowania się platyny; co więcej: od niedawna dopiero wiedzą z pewnością, w jakich kamieniach złoto się przechowuje. Zdaje się to być dziwnem; ztemwszystkiem łatwo pojąć, dla czego umiejętność tak mało w téj mierze postąpiła, gdy zważymy osobliwszą właściwość gruntu, z którego owe kruszce dobywane bywają. Jestto piasczysta namulona ziemia. W Ameryce znajduje się złoto w rzekach, zkąd je za pomocą mycia i przesiéwania piasku tych złotonośnych wydobywają Paktolów, które tę główną zaletę mają, iż nie są mitologicznémi. Teraz jest już powszech ie wiadomo, że złoto bywa także w kamiennych bryłach zawarte, a w ręku większéj części mineralogów znajdują się próby rudy złotéj. Inaczéj ma się rzecz z platyną. Ta znachodzi się tylko w namułach dolin, a lubo geologiczna formacyja pogórza uralskiego dokładnie jest zbadaną, nie odkryto tam jeszcze ani śladu rudy tegoż kruszcu, w który zresztą góry uralskie tak obfitują. Pan Leplay zajął się teraz najściślejszem zgłębieniem tego przedmiotu, i to, jak z jego listów się okazuje, z nader pomyślnym skutkiem. »Od niejakiego czasu,« — pisze on z Jekaterinburgu do pana Elie de Beaumont — »trudniłem się rozpoznaniem mycia platyny, i doszedłem przynajmniéj o tyle sposobu i miejsc formowania się platyny, o ile tego w ogólności przy takim kruszcu dojść można, który nie w ciągłych pokładach się znajduje, lecz poniekąd po całéj masie pewnych krystalizowanych kamieni jest rozstrzelony.« Powracając do Francyi przywiezie pan Leplay różne mineralne próbki ze sobą, które zapewne to pytanie rozstrzygną. A jestto istotnie pytanie wielkiéj wagi, którego nie należy brać za obojętną wiadomość, mogącą tylko nasze zbiory osobliwszych minerałów powiększyć. Niémasz nic ważniejszego nad sposób wynajdowania szlachetnych kruszców. Przezto mogłaby umiejętność obsypać świat skarbami, objawiając mu tam bogactwa, gdzie nikt dotąd o nich nie marzył. Któż wié, czyli w Alpach lub Pirynejach nie znajdują się skarby, które tylko górnika oczekują, aby nam odtąd bogactwa Ameryki i Uralu zastąpić?

Rzadka nieustraszoność. W świéżo wydaném angielskiém dziele »*Military punishments*«, »Kary wojskowe«, opowiada pułkownik Campbell następujący wypadek: W czasie amerykańskiéj wojny o niepodległość, zdarzały się w armii angielskiéj tak nadzwyczajnie częste dezercyje, iż prawie dnia nie było, aby kilku żołnierzy za granicę nie zbiegło. Najsurowsza wojskowa karność nie mogła temu zaradzić. Jednego razu schwytano zbiega z pułku de Meurons i miano go rozstrzélać. Cały pułk uformował czworobok, sięgający jedną stroną bliskiego lasu, gdzie się znajdował przeznaczony grób dla winowajcy, a nad nim stała trumna, na któréj skazany miał uklęknąć. Przy odgłosie pułkowéj muzyki, grającéj marsz pogrzebowy, wszedł profos z winowajcą i plutonem, który miał go rozstrzelać, do środku czworoboku. Skazany palił obojętnie cygaro, które, lubo niechętnie, musiałem mu kazać odebrać, lękając się złych skutków, jakieby podobny przykład gardzenia śmiercią mógł pociągnąć za sobą. Oddawszy nadpalone cygaro, przystąpił więzień do grobu, spojrzał badawczym wzrokiem we środek i rzekł z uśmiechem: »Ujdzie! Zdaje się, iż będzie dość głębokim.« — Potém zmierzył p ędzią długość trumny i powtórzył z tąższamą obojętnością: »I trumna nie zła — będę w niéj miał dość wygodne miejsce.« Nie dał sobie oczu zawiązać, mówiąc: »Jestem dobrym żołniérzem i nie lękam się śmierci.« Podobnież niechciał klęknąć na trumnie, lecz stojąc wyprostowany, otrzymał morderczе kule w mężną pierś swoję.

Uczta rzeźników i piekarzy. W roku 1601, rzeźnicy w Królewcu zrobili kiełbasę mającą 1005 łokci długości; spotrzebowali zaś na nią 81 wędzonych szynek i 18 funtów pieprzu; ogółem ważyła ta kiełbasa 900 funtów. W dzień nowego roku obnoszono ją w uroczystym pochodzie z muzyką; rzeźnicy następnie zjedli ją w towarzystwie piekarzy, którzy do téjże uczty upiekli z 12 korcy mąki pszennéj ośm strucli, mających po 5 łokci długości — i 6 ogromnych obwarzanków.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.